



Kazimierz Antosiewicz.

Z MINIONYCH DNI. (ZE WSPOMNIEŃ OSOBISTYCH).

1 i 2 sierpnia 1920 r. Zaświtał piękny sierpniowy poranek. W duszach Łomżan jednak — pochmurno. Dzisiaj właśnie mieliśmy oddać ziemi poświęconej jedenaście młodocianych ofiar walki na fortach łomżyńskich i w godzinach rannych, w lokalu Kasy Przemysłowców, naradzaliśmy się, jak to najgodniej uczynić. Nie dokończyliśmy jednak tych obrad, gdyż właśnie w owym czasie rozpoczęło się gwałtowne bombardowanie Łomży przez bolszewików. W Katedrze odbywała się suma niedzielna. Zebrany naród ani drgnął, pomimo, iż na prawo i na lewo pękały granaty, a powietrze rozdzierały przeraźliwie świsty i detonacje. Dopiero po ukończeniu nabożeństwa zaczęto chyłkiem przebiegać ulicę, by dostać się do domów i do swoich rodzin.

Obrońców naszych pochowaliśmy nazajutrz wśród piekła wojennego, gdyż od wczesnej już godziny rozpoczął się na nowo pojedynczy artyleryjski o Łomżę. Paszcze armat z obydwu stron wyrzucały setki pocisków. Sekundowały im czołgi, ustawione u wylotu ulicy Dwornej w pobliżu szosy, prowadzącej do nowego mostu. Nieustanny turkot karabinów maszynowych dodawał grozy i dzikości tej strasznej melodji, nacechowanej jakby wyciem, smętnymi jękami i przeciągłymi gwizdami. Suche strzały karabinowe, to wzmagające się do huraganu, to znów milknące na parę sekund, stanowiły tło dla tej orkiestry, która nie milkła ani na chwilę.

Przeczuwaliśmy instynktownie, iż dzień 1 sierpnia będzie przełomowym dla Łomży, wszelką jednak myśl rozstania się z naszymi obrońcami i przejścia pod panowanie armji czerwonej usuwaliśmy od siebie ze zgrozą. Wciąż liczyliśmy na odsiecz, którą —

prawdopodobnie dla uspokojenia umysłów — do ostatniej chwili zapowiadało dowództwo grupy łomżyńskiej, mieszczące się w gmachu Banku Ziemiańskiego, z generałem Baranowskim na czele. Liczyliśmy, iż poczciwa Narew nasza nie przepuści tych hord poza siebie. Piekło. Przerazone miasto jakby zamarło. Na ulicach prawie nikogo za wyjątkiem wojskowych, którzy, czy to w grupach, czy pojedynczo, odbierają rozkazy, nic sobie z tych pogwizdów armatnich i trzasków karabinowych nie robiąc. Służba sanitarna, dzielnie wspierana przez poświęcające się jednostki z pośród ludności cywilnej, pracuje niezmordowanie. Szpitale wypełnione.

Huk. Granat pęka u wylotu ulicy 3-go Maja, a pędzący galopem z rozkazem dorodny ułan pada wraz z koniem z rozstrzaskaną czaszką. „Jak to na wojence ładnie” — brzmi piosenka żołnierska, ale w rzeczywistości sere pęka na widok takiego obrazka. Zanieziono ułana do kostnicy. Koń leży na ulicy.

Na obszernym podwórzu Banku Ziemiańskiego, w pobliżu zabudowań gospodarskich, umieścił się na gołych kamieniach jakiś oddziałek piechoty w oczekiwaniu na rozkazy. Było może ze 25 ludzi. Podjedli. Ten i ów rozciągnął się na kamieniach. Gwarzą sobie wesoło, i nawet podśpiewują. Naraz trzask: to granat rozerwał się na bruku podwórzowym, w odległości 20 kroków od zbitej gromadki. Każdy instynktownie chwycił się za głowę i omacał całego siebie. W rezultacie szeregowiec Franek dostał odłamkiem w kłamię od paska, która się wygięła.

— Psiakrew, nawet posiedzieć spokojnie nie dadzą, mruknął ze złością Franek i jał prostować kłamię. Potoczył się następnie spór o to, czy pozostać na miejscu, czy też przenieść się pod osłonę muru.

— Raz matka rodziła, zawyrokował któryś z chłopców. Zostali na miejscu, chociaż pociski wciąż padały w pobliżu.

Docierały one wszędzie: i na poddasza i do suterren. Raz po raz dochodziły wiadomości o zabitych i rannych.

Tak upłynął dzień cały. Straszliwy huk i trzask ani na chwilę nie ustawał. Sierpniowe słońce zaczęło się chylić ku zachodowi. Naraz ze zdwojoną siłą dały się słyszeć salwy karabinowe. Gdzieś bardzo blisko. Nie wiedzieliśmy, co to znaczy, choć jakieś złe przeczucie zakradło się do serc naszych. Nie myliliśmy się: bolszewicy byli już na przedmieściach Łomży i Dowództwo pod gradem kul samochodem ciężarowym opuściło miasto. Spełniło obowiązek nie tylko do samego końca, ale ryzykowało już życiem lub niewolą. Widziałem ten odjazd.

Na niebo wypłynął księżyc i dał nam cudny wieczór sierpniowy, jakby na urągowisko temu, co działo się w sercach naszych. Na szosie Ostrołęckiej jeszcze czas pewien było słyhać turkot odjeżdżających wolno czołgów, ale turkot ten rozplynał się w ciszy wieczornej. Staliśmy na podwórzu domu swego, zbici w gromadkę, nie mówiąc do siebie ani słowa.

— Czy przyjdą zaraz, czy też poczekają do rana? Pytanie to tłoczyło się do mózgow naszych, ale przeraźliwa i trwoźna cisza zaczęła się przeciągać. Wkrótce wybiła północ. Wyjrzałem na ulicę. Miasto umarłych. Bezkrólewie.

Nadeszła czwarta godzina rano pamiętnego dla Łomży dnia 2 sierpnia. Pobudkę do życia dali kozacy, którzy małemi grupkami przebiegli ulice miasta. Stałem w oknie i spotkałem się ze wzrokiem jednego z tych dzikusów. Coś do mnie ze śmiechem przemówił, ale szybko cofnąłem się wgłąb mieszkania. W pół godziny później niezliczona ilość szarańczy zalała miasto i zajęła się rabunkiem, nie oszczędzając literalnie nikogo: ani zamożniejszych, ani najbiedniejszych, dla których zbawienia przyszła z nad brzegów Wołgi i Donu.

Rozpoczęły się nasze katusze. Podłożem ich była straszliwa tęsknota do swoich, do braci naszych, oddzielonych lasem bolszewickich bagnatów, do żołnierzyka polskiego, do wolności, której słońce świeciło nam promiennie już lat parę, by zagasnąć i zczecznać teraz pod ciężkimi, ołowianami chmurami...

Jak błędni wychodziliśmy w pole i siłą umęczonej wyobraźni nakazywaliśmy oczom naszym widzieć w każdym bocianie, szybującym w przestworzach, jako że była pora odlotu. — polski, koniecznie polski samolot, który ma nam zrzucić na ziemię jakąś ulotkę z wiadomością o naszych i zachętę do wytrwania...

Wzorem indjan przykładaliśmy ucho do ziemi i łowiliśmy jakies nieistniejące dźwięki, które miały świadczyć o zbliżaniu się naszych...

Oddalone grzmoty i błyskawice, jako że nad ziemią polską przechodziły podówczas burze, chętnie nazywaliśmy hukami armat naszych i cieszyliśmy się z tego huku, jak małe dzieci...

Aż wszystkim tym mękom naszym, wszystkim cierpieniom i tęsknotom położył wreszcie kres dzień 22 sierpnia, w którym znów ujrzeliśmy Cię, szary żołnierzyku polski, kiedy ze swoim groźnym, a tak ukochanym okrzykiem „Jezus Marja”, wpadłeś na karki dziczy bolszewickiej, pieczętując „Cud nad Wisłą” i oddając w ramiona królowej rzek naszych młodszą jej siostrzycę: Narew. Cześć Ci za to!



Lucyna Mioduszevska.

WSPOMNIENIA.

Na kilka dni przed zajęciem Łomży przez bolszewików, kiedy o miasto trwała najgorętsza walka, zebrało się przed moim domem kilku rannych i omdlałych żołnierzy, których przy pomocy przechodniów wniesiono do mego świeżo przygotowanego na zakład położniczy lokalu.

Od tej chwili coraz częściej i coraz więcej zaczęli przychodzić żołnierze, tak, że w ciągu kilku godzin cały budynek został założony rannymi żołnierzami.

Aby jaknajwięcej rozszerzyć ów zaimprovizowany szpitalik, poskładałam łóżka, a na podłogach rozesłałam słomę i tym sposobem udało mi się ulokować około stu żołnierzy.

Lżej ranni nadciągali sami, ciężko rannych znosili mi pp. Ciborowski, Piątek, Ciepłiński, Napiórkowski, a panie pomagały w ich opatrywaniu, szczególnie D-rowsa Zalewska, ś. p. Jadwiga Antosiewicz, panny Pieńkowskie z Krzewa, panna Mikułowska, panny Piorunek, panna Ładówna i wiele, wiele innych osób, które z własnej chęci niosły ofiarną pomoc rannym i chorym obrońcom Łomży.

Zgłosił również swą pomoc p. Dr. Alchimowicz, ówczesny Dyrektor Służby Zdrowia i jego pomocnik p. Salmoński, a ludność okoliczna w pierwszych dnia zasilala częściowo szpital produktami spożywczeimi.

W ciągu kilkudniowych walk lżej ranni przychodzący żołnierze otrzymywali w sanitarnym punkcie, oprócz opatrunków, posiłek, oraz zmianę bielizny i szli dalej do walki.

Przed ostatecznem odejściem naszych wojsk z Łomży ewakuowałam lżej rannych. Na miejscu pozostało 28 ciężko rannych.

Kiedy wkroczyli bolszewicy do miasta, widząc sanitarny punkt, zaczęli składać swoich rannych i chorych, tak, że punkt ten musiał w dalszym ciągu funkcjonować.

Bolszewicy rozpoczęli gospodarę niszczyielską i rabunkową, a kiedy zobaczyli polskich żołnierzy, zaczęli się nad nimi znęcać, obdzierać z ubrań i bić. Występowałam w ich obronie, zaco i mnie również pobili i niewiem, czemu się to skończyło, gdyby nie na-
gła pomoc.

Podczas ciężkich walk o forty przywieziono do punktu opatrun-
kowego rannego bolszewika, który był na wywiadzie. Ludność
cywilna chciała go zlinezować, lecz stanęłam w jego obronie i nie
pozwoliłam go zabić.

Lecz za kilka godzin ów bolszewik odwdzieczył mi się. Do szpi-
talika mego przyszło jego dwóch braci, którzy szukali go po szpi-
talach i znaleźli u mnie.

Pierwsze ich słowa były: „jak się z tobą obchodzili”? — Odpo-
wiedział: „gdyby nie siostra byliby mnie ubili”... W tejże samej
chwili przyszła powtórnie banda bolszewików, którzy rzucili się
na rannych. Gdy stanęłam w ich obronie, bracia rannego bolsze-
wika pomogli mi i niedopuszcili do grabieży i rozlewu krwi, a mnie
zaprowadzili do swojej władzy, która wyznaczyła trzech dyżurn-
nych. Dyżurni ci pilnowali porządku w punkcie sanitarnym i po-
magali mi w wyszukiwaniu żywności dla rannych i chorych bol-
szewickich i polskich żołnierzy.

Z pośród 28 żołnierzy Polaków, którzy pozostali w punkcie sa-
nitarnym, 6 ozdrowieńców ewakuowali bolszewicy do Białego-
stoku. Dałam im cywilne ubranie, w celu ułatwienia uciezki. Gdy
szczęśliwie udało się naszym zuchom uciec, 2-ch oficerów, wraca-
jąc przez Łomżę, przybyło do mnie ze słowami podzięki i radosną
weiscią, że już są na wolności.

Nie mogę również zapomnieć o wypadku, który miał miejsce
przy wejściu bolszewików. Zabierali oni wszystkłą żywność, co
gdzie napotkali. Pewnego dnia przybyli do mnie panowie ze
Składnicy Związków Spożywczych opowiadając, że im bolszewicy
wszystkłą żywność zabierają. Pragnąc im pomóc, pod pretekstem,
że to dla szpitali i dla rannych, zaczęłam zwozić produkty do
swego domu, chowając je na strych i t. p. Niestety, jeden z obała-
muconych sanitarjuszy zadenuncjował mnie bolszewikom, że
ukrywam w swoim domu żywność.

W przeddzień uciezki bolszewików przyszło do mnie dwóch
pijanych kozaków z tem, że mają mnie doprowadzić do swojej
władzy. Jestem oskarżona o ukrywanie w swoim domu bez wie-

dzy władzy produktów. Po wykryciu kryjówki, gdzie się produkty znajdowały, mieli się zemną rozprawić. Na szczęście, niedobre wiadomości jak grom podziały na bolszewików — zaczęła się wśród nich panika, z czego skrzętnie skorzystałam i uciekłam.

Po wyjściu z miasta bolszewików schowane produkty oddałam Związkowi Stowarzyszenia Spożywców.

Po ucieczce bolszewików rozformowałam sanitarny punkt, umieszczając rannych i chorych Polaków i bolszewików w innych szpitalach lub oddając do sanitarnego pociągu, lżej rannych bolszewików przekazując władzom polskim wojskowym, oddając również zabraną od rannych i chorych broń i amunicję.

Wysiłkiem pracy i poświęcenia ludzi dobrej woli sanitarny punkt pierwszej pomocy przy starym więzieniu w Łomży powstał i przetrwał w przeciągu 34 dni, gdzie wiele dobrego zrobiło się dla polskiego żołnierza.

Dziś z przyjemnością wspomina mtę ciężką i niebezpieczną pracę, w której wiele było przeżyć i wiele niebezpieczeństw.

Pozostaną one na zawsze w mojej pamięci, a zatem „Niech się święci dzień dziesięciolecia obrony Łomży”.



A. S.

Z NIEDAWNYCH PRZEŻYĆ. *)

Łomża, w lipcu 1920 r.

Przysięga pierwszego zastępu ochotników na placu Sienkiewicza przed kościołem garnizonowym.

Ochotnicy ustawieni w czworobok, dalej kompanja regularnego żołnierza — starszego brata, wkoło pierścien setek kochających serc, załzawionych oczu, wpatrzonych w poblądle od wzruszenia twarzy.

Nastrój podniosły. — Cisza. — Serca tylko biją tak mocno, aż boleśnie. Zda się pierś ziemi rodzinnej pod stopami zgromadzonych unosi się, jakby gotując się do ciężkiego westchnienia w poczuciu zbliżającej się ważnej chwili, — szeregu takich chwil.

O matko ziemio! Wiele promieniejących oczu zasypiesz jeszcze nim zapanuje pokój — pokój wieczny — zbratanie ludów!

Przysięga skończona.

Uroczystym i wzruszonym głosem przemawia kapelan:

Szczęśliwi jesteście!... Przyjemnie jest umierać dla Ojczyzny...

Zaiste szczęśliwi jesteśmy, że mamy możność bronić Jej i że za tę obronę ponosimy odpowiedzialność. A zatem ramię do ramienia, kto zdolny nosić broń — do szeregu — reszta do pracy pomocniczej. Wszystko ustać musi, aż najeźdźca wróci do swoich granic.

Tak rozumie Polska cała... W tej chwili w całym kraju zaprząsają zastępy najgorętszych, co na pierwszy zew poszli.

Tak rozumie Polska cała... Codziennie szeregi ochotników rosną, zasilane przez tych, co królewską purpurą ofiarnej krwi pisać chcą w obliczu całego świata traktat pokojowy.

Tak rozumie Polska cała, że nie tylko broni od barbarzyńskiego despotyzmu własnej ziemi, jeszcze nie zagojonej z ran porzbiorowych i wojny wszechświatowej, lecz broni całej Europy od przewalcowania bolszewickim narzędziem tortury.

*) Przedruk z tygodnika „Wspólna Praca” Łomża 1. 9. 1921.

Polska rozumie, że my, nie zmyci ze świeżych ran, jeszcze raz spełniamy rolę strażniczki Zachodu.

I tę rolę idziemy spełnić bez targu i kalkulacji handlowych, bez widoków na nagrody i zyski — w imię jedynie sprawiedliwości i poczucia obowiązku.

Dlatego szeregi ochotnicze zwiększają się.

Za kilka dni nowe oddziały składają przysięgę...

Jeszcze kilka dni upływa — uroczystość powtarza się.

* * *

Ochotników ćwiczą blisko — w koszarach za miastem. Tłumnie towarzyszą ćwiczeniom rodziny, przyjaciele i znajomi. Zwłaszcza licznie jest na szosie za ogrodzeniem podczas skończenia zajęć, bo jeszcze chwila i będzie można pogwarzyć kilka minut, zanim będzie apel.

Tymczasem obserwacje, rozpoznawanie znajomych.

Oto sędzia śledczy Wajcht, jednak, utrzymuje matkę, dla Ojczyzny oboje chętnie cierpieć będą niedostatek i rozłąkę.

Dalej sędzia hipoteczny Mikułowski, — utrzymuje matkę i rodzinę, — wyrzekli się siebie nawzajem dla tej innej wspólnej Matki.

Kto ten staruszek w okularach? Znany bojowiec z P. P. S. — robciarz — Boryszewski. Skazany za zamach zbrojny na kozaków w 1905 r. na śmierć — wyrok zamieniony później na dożywotnią katorgę, — zwolniony w 1917 roku przez rewolucję rosyjską.

Słuchający mimowoli obnażają głowy, spoglądając na niepozorną schyloną postać 58-letniego ochotnika, starego wiarusa, zahartowanego w walce o niepodległość Polski. Ma za sobą tradycję: ojciec jego jest weteranem z 63 roku.

Jest i reprezentant N. D. Roman Bielicki, znany w Łomży działacz w 1905 r. Uchodzić wtedy musiał zagranicę przed prześladowaniem moskali. Zostawił żonę i troje dzieci i gdy przyszedł czas, stanął jeden z pierwszych w obronie.

W obliczu niebezpieczeństwa patrze znikły!

Dalej widzimy w szeregu żołnierskim nauczycieli szkół powszechnych: Kurpiewskiego, Butlera, Wiśniewskiego, Szepietowskiego, — świecą przykładem.

Za nimi seminarzyści, wśród których nie brakuje Stolnickiego, syna znanego od szeregu lat działacza ludowego.

To wszystko starsza brać.

Tam dalej — harcerze — dzieci prawie. Poznać ich można po krzyżach i lilijkach. Wprost z pod ciepłej dłoni matczynej do

twardej służby Ojczyźnie z karabinem, za ciężkim na wątle dziecięce ramiona.

Uderza tu przede wszystkim w wyrazie oczu błyszczących mimo zmęczenia: „my mierzymy siły na zamiary, — a nie dopasowujemy zamiarów do sił”.

Polska nas potrzebuje — Komendant Piłsudski woła, idziemy, wszak my, Harcerze!

Wszystko co nasze

Polsce oddamy!

W Niej tylko życie —

Więc będziem żyć.

Obok harcerzy młodzież szkolna z starszych klas. Przy niej skupiła się młodzież rzemieślnicza i wiejska.

* * *

Wreszcie przychodzi 28 lipca. Południe. Bolszewicy już są podobno w Stawiskach. Wieść ta przebiega po mieście i paraliżuje mózgi.

Pierwsze oddziały wojsk idą na forty. Ochotnicy otrzymują ekwipunek, broń, amunicję i mają być w pogotowiu.

Ostateczny przegląd ochotników, defilada przed kapitanem Raganowiczem. Marsowa, ociemniała twarz dzielnego leguna pokrywa się troską, gdy patrzy na te dzieci o rozjaśnionych twarzach, którym raczej jeszcze swawola niż „rycerskie rzemiosło” pasuje.

Ostatnie krótkie pożegnanie, uścisk męski dłoni i czempredziej rozchodzą się wszyscy, by nie osłabić na te ciężkie godziny hartu ducha.

Czwartek. Pierwsze strzały bolszewickie. Są ranni. W mieście niepokój. Dużo osób opuściło miasto. Pierwsze zwiastuny bliskich walk wystraszą resztę mieszkańców o małym zasobie zimnej krwi.

Okolo południa strzelanina wzrasta. Bolszewicy atakują lewe skrzydło i most stary od Piątnicy. Są zabici na moście i szosie, jak stwierdziła dzielna harcerka Z. Wnorowska, która na własną rękę zrobiła wywiad, pomimo gęstego ostrzeliwania.

Kilka odważniejszych niewiast: Jarnuszkiewiczowa. Meyero-wa, Wnorowska dociera w południe, nie zważając na strzelaninę do fortów, gdzie opatrują rannych, oraz przenoszą ich na własnych ramionach do miasta. Inne tymczasem z Cabertówną i Jakubowską na czele postarały się o konie i przyjechały po rannych wozami, wysłanemi słomą.

Akcją ratunkową kieruje z młodocianą brawurą i wrodzoną pogodą ducha Dr. Czarnecki. Przykład dobry jest zaraźliwy. Za kilkoma odważniejszymi, poszły inne, pociągając za sobą młodzież, a nawet i mężczyźni w sile wieku, którzy wreszcie zdecydowali się opuścić bezpieczne kryjówki, by choć trochę ulżyć doli żołnierza.

Rozjaśniły się twarze chłopaków. Dowódcom oczy się śmiały na widok cywilnej ludności, która do wieczora ciągnęła procesję, niosąc jedzenie i ubranie na forty, a zabierając stamtąd chorych i rannych.

Do miasta nadciągnęły wozy z bielizną i żywnością, zbieraną po wsiach dla żołnierzy, broniących Łomży, którą uważano za „klucze do Warszawy”. Włościanie z Jednaczewa i Zawad własnoręcznie dowozili na miejsce podarunki, nie lękając się żadnego niebezpieczeństwa. „Skoro oni tam są — czego my się obawiać mamy”. W odpowiedzi na ten akt zaufania chłopcy na fortach twierdzili, popijając doskonale mleko ze świeżym chlebem: „za samo mleko i chleb bronić będziemy Łomży, która o nas nie zapomina”.

* * *

Broniliśmy „kluczy do Warszawy”, ale każda krwawa szmata na żołnierzu wkładała nam w usta modlitwę: „pokój, pokój, jak najprędzej pokój”.

W sobotę wieczorem i przez całą noc była cisza. Za to w niedzielę od rana bolszewicy przypuścili szturm do miasta. Dostęp do fortów był trudny. Wsie także nic nie dowiozły.

Wyczuwać się dawał jakiś okrutny początek końca.

W nocy z niedzieli na poniedziałek wojska nasze, stosownie do rozkazu, opuściły forty i przeszły za Łomżę.

A więc baon zapasowy 33-go pułku z kapitanem Raganowiczem.

A więc 101 pułk z pułkownikiem Hellmanem.

Dowiedzieliśmy się o tem z ust żołnierzy, którzy przyszli do miasta po amunicję, bieliznę i jedzenie.

„Stoimy pod Kraską w okopach, na fortach są bolszewicy”.

A zatem cofanie się...

* * *

Przez puste ulice przebiegają harcerki z Jadwigą Ramatowską na czele, podając jedzenie przytulonym do murów żołnierzom, osłaniającym odwrót wojsk.

Tu i owdzie sanitariuszki dźwigają na noszach rannego.

Co chwila pocisk jakiś rujnuje mury, strzępi drzewa, ścieląc gałęzie i zieleń gęsto na ulicy, lub żłobi bruk i chodniki, a wszystkiemu towarzyszy brzęk sypiących się szyb.

Ani się czuje ani się myśli. Modlitwa na usta z jękiem się wydobywa.

Jeszcze jeden wysiłek — ostatni.

Pułkownik Kopa wydaje ostatnie rozkazy. Przy nim jego sztab. Oczy, zmęczone od ciągłego wysiłku i czuwania, co chwilę kryją się pod zaczerwienione powieki. Sanitarjuszki, wśród których widać J. Szczęsną, Zarebiankę, Dębowską, niezmordowanie przevożą i przenoszą rannych.

Zarządzająca gospodą żołnierską Ligi Kobiet Piekarska z Jarnuszkiewiczową, uzbroiwszy się w cztery dzbany czarnej kawy, docierają do pierwszej linii obronnej na Krasce i zanoszą „chłopakom” chociaż pić trochę, bo kuchnie z jedzeniem dotrzeć, z powodu silnego ognie nieprzyjacielskiego, nie mogły przez cały dzień.

Cabertówna dostarcza papierosy i chleb.

Godzina 11, strzelanina ustaje. Ostatnie oddziały opuszczają miasto. Grobowa, złowroga cisza zawisa nad mieszkańcami. Wszyscy stoją wobec sfinksowego jutra. Niewytłomaczony lęk paraliżuje władze: nikt nie śmie o nic pytać i niczego zgłębiać.

* * *

To „jutro” przyszło.

Straszniejsze niż wszystko, co wojna wszechświatowa dotychczas Polsce dała.